

Aleksander Sochaczewski
NA SYBERII
(nowele politycznego zesłańca)
część 3

Opracował i wydał Richard Schott
Wyd: Dr. Demder, Berlin [1906]
Tłumaczyła z niemieckiego Barbara Siebat

na zlecenie Muzeum Historii Polskiego
Ruchu Rewolucyjnego

Warszawa 1983

PALAGEJA FIODOROWNA

1.

Palageja Fiodorowna była piękną, szczupłą, gibką dziewczyną o gęstych, jasnych włosach. Nosiła je zaplecione w warkocz, zwisający aż do pasa, w który zgodnie ze słowiańskim obyczajem wplecione były kolorowe, wąskie wstążki. W jej nieco bladej, melancholijnej twarzy najbardziej charakterystyczne były oczy – ogromne i niebieskie, z rzęsami tak długimi, iż wydawało się, że patrzy spoza nich. Spojrzenie miała głębokie i poważne, chód stanowczy i miarowy. Chociaż śmiała się rzadko, zawsze była rześka i dziarska. Od najmłodszych lat chodziła swoimi drogami, bez koleżanek i przyjaciół. W kręgu swoich znajomych nigdy nie plotkowała o innych, nie zwracała też uwagi na pogłoski, które do niej dochodziły...

[*W tekście brak dwóch stron*]

...było powodem jego zesłania na Syberię.

– No to pytaj. Mnie to nie przeszkadza.

– Gdzie byłaś?

– U pana Krawcowa – brzmiała krótka odpowiedź.

– Aha. I u niego byłaś całą noc?

– Tak.

– Dlaczego?

– Kocham go.

Fiodor Iwanowicz przyjrzał się jej z wyrazem złości w oczach. Zacisnął mocno pięści... Pohamował się jednak i po przerwie zapytał znowu:

– Czy on też cię kocha?

– Nie. Ale nie ma nic przeciw temu, żebym u niego zostawała.

Fiodor Iwanowicz znowu musiał zrobić pauzę, żeby stłumić wzbierającą w nim złość.

– Czy wiesz, co z tego może wyniknąć, Pałasza? – spytał.

– Czy jesteś przygotowana na wszystko? Nikt ci nie pomoże. Będziesz musiała sama sobie radzić.

– Co mi tam. Nie obchodzi mnie to. Kocham go.

Ojciec przyglądał jej się przez chwilę. Odpowiedziała mu spojrzeniem – nawet nie zadrżały jej powieki. Potem przeszedł się kilka razy po izbie, stanął przed dziewczyną i powiedział:

– Masz swój rozum i musisz się sama o siebie troszczyć. Jak sobie chcesz.

Powiedziawszy to, znowu zabrał się spokojnie do swojej pracy.

2.

Afanazij Iwanowicz Krawcow był znanym dziwakiem. Żaden człowiek nie potrafił powiedzieć, z czego i jak żyje. Do Irkucka przybył przed wielu laty. Nikt nie miał pojęcia, skąd przyjechał ani dlaczego. Żył bardzo skromnie, nawet biednie, nikt go nie obchodził. Był co najmniej o trzydzieści lat starszy od Palagei Fiodorowny.

Na tej samej parceli co on, mieszkała z tyłu w małej chatce wdowa po krawcu. Córka jej była koleżanką szkolną Palagei. Od niej właśnie po raz pierwszy usłyszała Palageja o dziwactwach pana Krawcowa. Opowiadała, że podobno bardzo nienawidzi płci pięknej i w osobliwy sposób wziął się za poprawianie Biblii.

Fakt, że Pan Bóg stworzył Ewę z jednego zebra Adama uznawał za bajkę.

– Zły stworzył kobietę. Kiedyś był najlepszym i jedynym przyjacielem Boga i dzielili się między sobą wszystkim. W czasie tworzenia świata bardzo się pokłócili, a kiedy Bóg obstawał przy swoim, mocno strapiiony Zły powędrował w zaświaty, gdzie urządził sobie własne królestwo, które nazywamy piekłem. Wszystkie ludzkie

dusze, które Pan Bóg wyposażył w zbyt wiele cech, przynoszących więcej szkody niż szczęśliwości, są tam męczone i torturowane. Jako największą udrękę ludzkości zły stworzył kobietę.

Podobne osobliwe opowieści o Afanazjim Iwanowiczu wywarły na Palagei głębokie wrażenie. Rozmyślała o nich stale i im więcej historyjek słyszała, tym żywiej pragnęła poznać tego dziwnego człowieka, który różnił się zupełnie od innych. Wtedy nie miała jeszcze nic innego na myśli.

Wdowa po krawcu pozostawała jedyną osobą, mającą dostęp do tego dziwaka. Zadaniem jej było latem o godzinie 6, a zimą o godzinie 8 rano nastawić samowar, pójść i przynieść świeże bułki oraz czyścić jego buty i ubranie. U pana Krawcowa natomiast nie było w ogóle takiego zwyczaju, żeby sprzątać.

Potrafił przez cały dzień pić herbatę i palić fajkę. Siedział od rana do nocy ze swoim cybuchem tuż przy oknie, które latem było szeroko otwarte, albo też leżał na łóżku i kopał.

Nigdy nie pisał i sam nie otrzymywał listów. Nie czytał gazet. Nigdy także nie cesał ani nie mył włosów i brody, z jednym wyjątkiem, kiedy czasami w soboty chodził od łaźni na kąpiel parową.

Okazję wykorzystywała wdowa po krawcu, żeby pod jego nieobecność posprzątać pokój i zmienić pościel.

Świetnie radził sobie z popami, którzy z okazji bardziej znaczących świąt przychodzili do każdego mieszkania ze świętym krzyżem, aby pobłogosławić wiernych. Afanazij Iwanowicz urządził to zawsze tak, że stał już przed drzwiami, kiedy nadchodzili. Milcząc wsuwał im banknot trzyrublowy, za co popi od razu dziękowali, zabierali się ze świętymi insygniami i podążali z błogosławieństwem do sąsiedniego domu.

Stary dziwak stał się więc przyczyną, że Palageja Fiodorowna, która przedtem nigdy nie miała nawet przyjaciółki, poczuła nagle silną wewnętrzną potrzebę, żeby przesiadywać u córki wdowy po krawcu. Okazało się, że albo musi o coś zapytać, to znowu

koniecznie pokazać jakiś haft, innym razem trzeba było pomóc w gospodarstwie... Wszystko tylko po to, żeby pójść do jej domu, a przy okazji choćby rzucić okiem na wnętrze pokoju pana Krawcowa. Potrafiła też umiejętnie, nie zdradzając się w niczym, wypytać przyjaciółkę o wszystko, co się działo u Krawcowa.

Trwało to jakiś czas. Któregoś dnia sądziła, że Afanazij Iwanowicz wyszedł. Wychyliła się więc przez otwarte okno daleko do wnętrza, żeby przynajmniej raz przyjrzeć się wszystkiemu dokładnie.

Nagle zaskoczył ją szorstki głos:

– Kogo tu pani szuka?

Palageja Fiodorowna odskoczyła spłoszona i oblała się rumieńcem.

Zanim jednak zdążyła ochłonąć po tym niemiłym zaskoczeniu, już człowiek – niedźwiedź podszedł ze swoim długim cybuchem do okna i powiedział:

– A, to pani. Niech pani zajdzie do mnie. Wypije pani ze mną herbatę?

Kiedy wydawało się, że ona nie może się zdecydować, dodał:

– No, niech się pani nie ociąga.

– Ani myślę – odpowiedziała Palageja Fiodorowna. – Nie należę do tego gatunku ludzi. Zastanawiałam się tylko nad tym, czy zaproszenie było szczere, czy też jest pan jednym z tych, którzy chcą się z nami, dziewczynami, tylko zabawić.

– Zabawić? Ja? – zawołał dziwak, wybuchając pogardliwym, lekceważącym śmiechem. – Z tym diabelskim pomiotem, diabelskim nasieniem dawno skończyłem żartować, dawno zaprzestałem zabawy... Już wiem, jak się przed wami bronić! Ponieważ, niech mnie pani tylko uważnie posłucha, najbardziej kąśliwa i jadowita żmija jest mi milsza, niż choćby jedna spośród was, nawet najłagodniejsza.

– Czyżby? I pan ma odwagę zaprosić mnie do siebie na herbatę? Dosyć to nieostrożnie z pańskiej strony? – Gdzie tam. Niech

pani nie mędrkuje. Niech pani wejdzie i wypijemy herbatę albo niech pani idzie swoją drogą.

Palageja Fiodorowna wybrała to pierwsze. Rozmowa w podobnym tonie, w jakim zaczęli ją na ulicy, w środku potoczyła się wartko. Klócili się bez przerwy. Prawił jej grubiaństwa, a ona nie pozostawała w niczym dłużna.

Jednak przy pożegnaniu podał jej rękę i wskazał:

– Niech pani posłucha. Jeśli nie jest pani taką jak inne lalczką, która potrafi zawołać tylko „mama, tata”, albo jak krowa, co patrzy jak nażreć się tanim kosztem i podtuczyć, to wtedy hm... może mnie pani znowu odwiedzić. Ale jeszcze jedno muszę powiedzieć: jeśli ma pani jakieś zamiary wobec mnie, będą z nich nici. Zrozumiała pani? W takim wypadku pomyliła pani adres. Nie mam zamiaru zawracać sobie głowy żadną babą: mam ich potąd...

Po wypowiedzeniu tych słów zdecydowanym ruchem przesunął ręką pod brodą. Popchnął dziewczynę w stronę drzwi.

Kilka dni później Palageja Fiodorowna weszła jakby nigdy nie do pokoju Afanazego Iwanowicza.

– Och! – zawołał, gdy spostrzegł, że nadchodzi. – Już pani przyszła? No, niech tam. Już pani jest. Ale jak mówiłem: niech pani sobie niczego nie wyobraża. Nie będzie pani miała szczęścia do mnie.

Wkrótce jednak spokojnie i w przyjemnym nastroju pili herbatę i gawędzili. Pod wieczór zerwała się wichura i lunął deszcz z wałącym gradem, aż się szyby trzęsły. Wycie wichru wcale im nie przeszkadzało... Pili herbatę, dalej gawędzili i stało się: Palageja Fiodorowna nie wróciła tej nocy do domu.

3.

Odtąd zdarzało się częściej, że Palageja Fiodorowna nie powracała na noc i zostawała u pana Krawcowa aż do chwili, kiedy została matką zdrowego chłopca.

Przyszła znowu już po połogu. Ani jedno słowo na ten temat nie padło. Nie chciała nic mówić bez pytania – a on go nie zadał. Niczego nie żądała, a on niczego jej nie ofiarował. Przyszła – dobrze, gdyby nie przyszła – też dobrze. Od czasu do czasu zaczynał rozmowę na swój ulubiony temat, o nikczemności i podłości kobiet. Jednak ona o tym nie dyskutowała. Współżyli tak ze sobą od czasu, kiedy przyszedł na świat ich trzeci syn.

Gdy miał już siedem miesięcy, zjawiła się Palageja Fiodorowna i przedstawiła pierwszą prośbę: chciałyby, żeby pozwolił przyprować do jego mieszkania dzieci.

– Dlaczego? – spytał mocno zaskoczony.

– Bo zmarła matka... Po pogrzebie musi się odbyć stypa oraz msza żałobna, panachida. Małe dzieci nie są przy tym potrzebne.

W odpowiedzi pokiwał tylko przyzwalająco głową, a ona poszła i przyprowała dzieci.

Była to trójka ślicznych, zdrowych chłopców, rześkich i radosnych, aż przyjemnie na nich popatrzeć. Wdowa po krawcu zaopiekowała się dziećmi i nie mogła się nachwalić, jakie one są piękne, a ich matka pracowita.

Afanazij Iwanowicz nie odpowiedział na to ani jednym słowem.

Palageja Fiodorowna wróciła po trzech dniach i pocałowała swoje dzieci, pan Krawcow dał jej jednak znak, aby poszła z nim do izby.

Kiedy byli sami, zapytał:

– Palagejo Fiodorowno, czy jesteś zadowolona?

– Oczywiście – odpowiedziała szybko.

– Tak, ale dlaczego? – spytał, patrząc z niedowierzaniem.

– Innym wiedzie się o wiele gorzej. Dzieci są zdrowe i rześkie, a ja zarabiam akurat tyle, ile potrzebujemy.

Przyczał się, chciał zajrzeć do jej duszy. Palageja Fiodorowna zachowała jednak spokój i stanowczość. Niesamowita dobroć i szczerłość promieniowały z jej oczu. Na twarzy rysowała się rzadko spotykana siła charakteru.

Przypatrywał się jej dłuższą chwilę i nagle wybuchnął:

– Palagejo Fiodorowno, jeszcze dzisiaj wyjeżdżam... Nie oczekuj ode mnie listów ani wiadomości. Po wyjeździe stąd będę dla ciebie stracony na zawsze. Między nami wszystko skończone. Na zawsze...

W tym momencie wywołały ją z pokoju krzyki dzieci.

Dwie godziny później Afanazij Iwanowicz podążył Moskiewskim Traktem w powozie pocztowym.

4.

Nikt nie potrafi powiedzieć, czy Palageja Fiodorowna płakała, a jeśli tak, to ile wylała łez. Nie widziano ich na jej twarzy. Z nikim nie rozmawiała o swoim położeniu. Była tak jak przedtem pracownica i zamknięta w sobie.

Lata mijały.

Zmarł jej ojciec Fiodor Iwanowicz. W prawie całkiem zniszczonym i rozpadającym się domu otworzyła pralnię i miała zawsze wiele pracy. Zadbala, żeby dorastające dzieci uczyły się zawodu. Najstarszy syn miał zostać ślusarzem, średni stolarzem, a najmłodszy kupcem. Co niedziela przychodzili do matki i pomagali jej w wieszaniu prania. Sprawiało im to najwięcej przyjemności.

W okolicy najpierw sporo o niej plotkowano, zwłaszcza o zniknięciu Krawcowa. Próbowano wydobyć z niej wiadomości, wypytywano, kiedy Afanazij Iwanowicz powróci. Wtedy nic nie mówiła lub krótko odpowiadała:

– Z pewnością wróci! Wróci z pewnością...

Nigdy się nie skarżyła. Nic nie zakłócało spokoju jej duszy. Nic nie potrafiło złamać jej wiary ani silnej woli. Troszczyła się o dzieci i nie nadużywała dobroci innych.

Ponieważ była kobietą piękną i świeżą, miała też adoratorów, wśród nich był bogaty mydlarz. Żadnego z nich nie traktowała jednak poważnie. Tylko raz znalazła się w rozterce. Znalazł się ktoś, kto potrafił kusząco przedstawić jej przyszłość u swego boku. Trwał ten urok jednak tylko przez kilka sekund. Lekki uśmiech i spuszczone oczy zdradzały jej podniecenie i zdenerwowanie. Po-tem jednak wyprostowała się i powiedziała:

– Znajdzie pan z pewnością jeszcze lepszą dziewczynę. Ja już kochałam, a teraz jestem matką. Moja miłość należy do moich dzieci.

5.

Minęło prawie dwadzieścia lat. Palageja Fiodorowna dzięki swej naturalnej dobroci, pracowitości i pilności, zdobyła sobie w mieście powszechne poważanie. Jednak pan Krawcow nigdy nie dał znaku życia.

Aż któregoś ranka nagle z ulicy doszły dźwięki dzwoneczków podróznego powozu. Słysząc je było coraz bliżej i bliżej, aż wyłonił się powóz pocztowy, który zatrzymał się przed domkiem Palagei.

Chociaż była dopiero siódma rano, Palageja już pracowała. Pukanie do okiennic wywołało ją przed dom. Z powozu pocztowego wysiadł zdrowy jeszcze i silny, ale całkiem już posiwiwały mężczyzna.

– Dzień dobry, Palagejo Fiodorowno. Czy przypomina pani mnie sobie jeszcze? – zapytał, podając szeroką dłoń.

Palageja stanęła jak wryta. Minęła chyba minuta cała, zanim zdolna była odpowiedzieć:

– Oczywiście, Afanaziju Iwanowiczu. Wiedziałem, że pan jednak kiedyś wróci do swojej Pałazy i jej trzech synów – stwierdziła, uśmiechając się.

– No, ale o tym potem... Czy może się pani ubrać lepiej... bardziej odświętnie?

– Nie tak wiele, ale...

– To proszę pójść się przebrać.

Palageja wróciła po dziesięciu minutach, przebrana w niedziel-
ną sukienkę.

– Proszę tam usiąść – wskazał na dorożkę.

Nie mówiąc ani słowa, wsiadła. Zajął miejsce obok niej, dał
znak powożącemu i ruszyli.

Dorożka zatrzymała się przed cerkwią. Czekają tam już dwóch
świadków.

Pół godziny później Palageja Fiodorowna była żoną pana
Krawcowa...

Po ślubie powrócili do domku Palagei. Gdy znaleźli się w poko-
ju, Afanazij Iwanowicz wyciągnął plik banknotów, położył na stole
i oznajmił:

– Palagejo Fiodorowno, przez długi czas kazałem cię obser-
wować. Dobrze się trzymałaś. Za to też cię wynagrodziłem. Teraz
jesteś moją żoną, a to są pieniądze na dzieci. Także w przyszłości
będę się o ciebie troszczył. Gdybyś jednak pomyślała, że zostanę
teraz z tobą? Nie, tego sobie nie wyobrażasz. Wy, kobiety, po-
chodzicie jednak od diabła. Jeślibym zechciał z tobą zostać, to
wiem, że diabeł jeszcze by z ciebie wylazł, a nie chciałbym do tego
dopuścić...

Po wypowiedzeniu tych słów wyszedł i nim Palageja zdążyła
oprzytomnieć, wsiadł do dorożki i odjechał.

ZAMASKOWANY

Pracowałem jeszcze w kopalni soli w miejscowości Usola, ale nie mieszkałem już w barakach, przeznaczonych dla więźniów, tylko na wolności, w wiosce o tej samej nazwie.

Raz wieczorem poszedłem na spacer na brzeg Angary, by pocieszyć się trochę widokiem malowniczego, dzikiego krajobrazu i odświeżyć dzięki łagodnemu powietrzu. Włócząc się bez celu wzdłuż stromych brzegów rzeki, dotarłem do zupełnie odludnej okolicy, gdzie nigdy wcześniej nie byłem.

Dzień okazał się bardzo ciepły, jak to często się zdarza we wschodniej Syberii. Żeby rozsmakować się w tym wspaniałym wieczorze, zszedłem wąską dróżką, którą zapewne mało kto chodził, nad rzekę, przepływającą obok mnie z głośnym hukiem. Nad wodą roiły się tysiące owadów różnego gatunku. W zaroślach ćwierkało mnóstwo ptaków, które latem przylatują tutaj ze wszystkich stron świata, żeby w tej dzikiej i dziewiczej okolicy – gdzie nikt im nie przeszkadza i mają wystarczająco dużo pożywienia – budować gniazda i wysiadywać młode.

Oczarowany byłem bogactwem i różnorodnością toczącego się tu życia. Dziękowałem w skupieniu kochanemu słońcu, za sprawą którego również biednemu wygnańcowi na Syberii dane było przeżyć kilka szczęśliwych chwil. Usiadłem na trawie tuż przy szumiącej rzece i paliłem cygaro.

Głęboki, lecz przyjemny głos przerwał tok moich myśli.

– Mój panie. Czy pozwoli pan, że przypalę swoją fajkę od pańskiego cygara?

Podniosłem wzrok.

Stał przede mną postawny, niezmiernie biednie ubrany starzec, trzymając w ręce małą fajkę własnej roboty. Rozpięta na piersi mocno podarta koszula wyglądała na więzienną. Podobnie kaftan

– krótki i bardzo znoszony oraz spodnie, pokryte niezliczoną liczbą łat wskazywały na to, że należą do więźnia.

Nogi były bose.

Głowa za to – niezmiernie interesująca. Prawdziwy typ Wielkorusa... Włosy gęstymi, białymi lokami opadały w nieładzie spod czegoś brudnego i postrzępionego, co kiedyś było czapką. Długa broda ciasno okalała bladą twarz, wąsy były aż żółtozielone, zapewne od palenia kiepskiego tytoniu. Między brwiami sterczał duży, mocno opalony nos o klasycznym profilu. Duże oczy, kiedyś zapewne niebieskie, teraz wydawały się wyblakłe i matowe.

Podąłem mu swoje cygaro. Fajki jednak nie udało mu się zapalić. Prawdopodobnie tkwiło w niej zaledwie parę zwęglonych kawałków korzeni tytoniu. Obserwowałem go i w duszy myślałem sobie: kim mógł być w przeszłości?

Gdy zorientował się, że nie dopnie swego, twarz jego zmarszczyła się ze złości. Zapewne bardzo chciał zapalić.

– Nadaremnie! Nadaremnie pana trudziłem! – powiedział w końcu, oddając mi cygaro. – Zechce pan wybaczyć.

Przeprosił i zamierzał odejść.

– Niech pan posłucha – zawołałem za nim. – Nie mam już ochoty palić. Proszę zrobić mi przyjemność i zatrzymać cygaro.

Przez kilka sekund patrzył na mnie swoimi wygasłymi oczami. Potem wziął cygaro i powiedział:

– Bóg zapłać.

Palił teraz z widoczną chciwością. Zaciągał się dymem bardzo głęboko, wciągając go do gardła, aż oczy wychodziły mu na wierzch. Wykonywał przy tym ruchy takie, jak gdyby przełykał od razu pół litra koniaku.

– Proszę się przysiąc do mnie – zaprosiłem.

– O, nie – odpowiedział. – Nie wolno mi. Jestem tutaj zatrudniony jako strażnik. Muszę iść do swojej kopalni.

– A gdzie znajduje się pańska kopalnia?

– Tam, niedaleko stąd, nad brzegiem. Mieszkam tam.

– Jeśli mógłbym ją zobaczyć, pójdę z panem.

W odpowiedzi przytaknął uprzejmie i parę setek kroków szliśmy razem, aż dotarliśmy do kopalni.

Była to zwykła dziura, wykopana w stromym brzegu rzeki. Spróchniała deska zastawiała wejście. Kawalek szkła, po którym widoczne było długie działanie deszczu, słońca i brudu, bardziej przypominający blachę niż szkło, służył za okno. Dreszcz mnie przeszył, kiedy zjrzałem do środka! Z tyłu po prawej stronie widniało zagłębienie w ziemi, w którym znajdowały się kamienie, kociołek i resztki popiołu: był to piec. Po lewej stronie od tego zagłębienia rzucało się w oczy legowisko: kilka starych desek, pokrytych przegniłym sianem i łachmanami. Wszystko to leżało na kamieniach. Znajdowało się tam również coś, co przypominało stół. Czego na nim nie było! Wszystko tu pozostawało brudne i pachniało nędzą, że zmiłuj się Boże!

Widok ten stanowił wyraźny zgrzyt w zestawieniu z bogactwem przyrody na zewnątrz i tym, jak mnie uprzednio urzekła. Bardzo szybko na pożegnanie poleciłem się na przyszłość, zzymając się na swoją dziecinną ciekawość. Zepsułem nią sobie cały piękny wieczór. Zirytowany poszedłem do domu, nie obejrzawszy się ani razu w kierunku zachodzącego słońca, które jest na Syberii szczególnie piękne.

Wstrętne wrażenie i wspomnienie tego bezgranicznego ubóstwa wprawiły mnie w bardzo nieprzyjemny nastrój i najgorszy był fakt, że te duże, wygasłe oczy dały mi dużo do myślenia. Po to, by rozproszyc te myśli, udałem się na poszukiwania jednego z moich towarzyszy niedoli, który posiadał harmonijkę nożną i grał na niej z prawdziwą wirtuozerią. Poprosiłem, żeby zagrał coś dla mnie, co ochoczo uczynił. Muzyka mnie uspokoiła. Wypiliśmy herbatę i gawędziliśmy przyjemnie. Kiedy wracałem do domu, zapadła już późna noc.

Zaledwie jednak położyłem się z mocnym postanowieniem, żeby zaraz zasnąć i zgasilem światło, a już koszmarne myśli

rozpoczęły ponownie swój przeraźliwy taniec. Znow stał przede mną stary człowiek w zeszmakonym ubraniu więźnia i ze straszliwie cierpiącą twarzą. Ponownie zaglądałem do żalostnej, nędznej dziury, którą każdy zawahałby się przeznaczyć na legowisko dla psa. Znow wpatrywały się we mnie te zagadkowe, wyblakłe oczy, zastygłe i obce, jakby poznany dopiero co człowiek chciał do mnie zawołać:

– Och, ty! I ty kiedykolwiek odważyłeś się otworzyć usta, skarżąc się? Ty czułeś, że masz prawo gniewać się na swój los, za to, że w nagrodę za twoją miłość do Ojczyzny rzucił cię aż tutaj, na Syberię do kopalń? Ty niewdzięczniku! Na kolanach powinienś dziękować Bogu za tak lekką dolę. Gdybyś chociaż miał wyobrażenie o tej bezgranicznej nędzy, która wyprała mnie ze wszystkiego i odczłowieczyła!

Zasnąłem dopiero nad ranem, po to, żeby w parę godzin później obudzić się z bólem głowy, który był nie do zniesienia. Szybko załatwiłem codzienną poranną toaletę, aby szybko wyjść na świeże powietrze. Słońce przypiekało już mocno, chociaż był dopiero wczesny ranek. Postanowiłem, że przed pracą pójde nad rzekę wykapać się. Wyszukałem sobie wygodne i ustronne miejsce. Napawałem się, ile dusza zapragnie, orzeźwiający działaniem fal i właśnie zamierzałem wracać, kiedy znowu nasza mnie chęć odwiedzenia starego. Powtarzałem sobie co prawda, że pewnie i tym razem zepsuję ten piękny poranek, ale takie dziwne coś, co było czymś więcej, niż prostą ciekawością, z nieodpartą siłą pchało mnie do tej jednej jedynej kopalni, której widok napełnił mnie poprzedniego wieczoru uczuciem grozy. Ociągając się, prawie wbrew woli, podchodziłem bliżej, ale pod koniec, kiedy postanowiłem już wracać, usłyszałem powitanie starego.

- Dzień dobry, mój panie – powiedział.
- Dzień dobry – odrzekłem.
- Już pan wstał?
- Tak, oczywiście. Jestem już po kąpieli!

– To dobrze. Widziałem pana i rozpoznałem. Kiedyś i ja bardzo lubiłem się kąpać, jednak teraz woda jest dla mnie za zimna.

– Proszę mi powiedzieć – zapytałem, przerywając bląhą rozmowę. – Jak się pan nazywa?

– Ja? – spuścił głowę i zakłopotany wpatrywał się w ziemię.
– Mówią na mnie tutaj Stiepan Markowicz Kariagin – wydobył wreszcie z siebie.

– Ale naprawdę nazywa się pan całkiem inaczej?

– Zupełnie możliwe, zupełnie możliwe – mruzczał i wpatrywał się we mnie.

– Nie podejrzewa pan chyba, że jestem szpiclem policyjnym?

– O nie... w żadnym wypadku – wyjąkał. – Lecz... widzi pan, muszę iść swoją drogą... Mój urząd... Adieu!

Długo spoglądałem za nim... Miał taki dziwny chód.

— — — — —

W następnych dniach nie mogłem zainteresować się starym, gdyż przybyli nowi zesłańcy. Nie wolno nam było czytać gazet – zresztą zdobyć je w Usoli i tak pozostawało niemożliwością – stąd też, jeśli chcieliśmy czegoś dowiedzieć się o świecie, byliśmy tylko i wyłącznie zależni od wiadomości i nowinek, przywożonych nam przez nowo przybyłych.

Dopiero po upływie tygodnia miałem znowu trochę czasu, żeby pójść na spacer i udałem się od razu do kopalni, gdzie przedtem pożegnałem starego.

Tym razem nie spotkałem go na dworze. Zajrzałem więc przez to – tak zwane – okno, żeby zobaczyć, czy nie ma go w środku. Rzeczywiście był wewnątrz. Z całą pewnością. Ale jak on wyglądał! Na oknie leżała książka, nad nią pochylony stary, w dużych okrągłych okularach na nosie. Czytał. Pozostawał tak bardzo zatopiony w lekturze, że wcale nie zauważył, kiedy przyszedłem. Wstrzymałem oddech, obserwowałem go i usiłowałem odczytać tekst w książce. Wydawało mi się, że to była rosyjska publikacja.

W końcu wśliznąłem się do jamy i stanąłem blisko niego. Co zobaczyłem teraz? Czytał „Kraft und Stoff”, „Siłę i materię” Buchnera!

Ta książka była wtedy w Rosji zakazana i prawie niedostępna. A teraz znajdowałem ją tutaj, we wschodniej Syberii, w kopalni soli, u człowieka, który nie posiadał nawet dziesięciu kopiejek, żeby kupić tytoń do fajki, kosztujący niewiele więcej niż siano.

Sam od lat nie tęskniłem bardziej za niczym innym, jak za tym, by móc znowu poczytać jakieś dzieła Buchnera. Tak więc również zacząłem czytać, rozmyślać i zapominałem o otaczającym mnie świecie. Po chwili spojrział na mnie, ale wcale nie był zdziwiony, gdy mnie spostrzegł i wypytywał mnie w taki sposób, jakbyśmy od dawna przebywali razem. Wkrótce byliśmy pogrążeni w rozmowie o Buchnerze, Darwinie, Dawidzie Straussie i innych zachodnich pionierach nauki tego czasu. Stary czytał ich dzieła, studiował je. Razem upajaliśmy się wymianą poglądów, rozmowa sprawiała nam rozkosz.

Wtem wydobył z siebie okrzyk przerażenia, który – jak poczułem – wstrząsnął mną do głębi. Zanim się opamiętałem, stary zniknął wraz z Buchnerem.

Nie wiedziałem, co o tym sądzić. Dopiero stopniowo uzmysłowiłem sobie, co zaszło. Teraz nie miałem już wątpliwości, że ten człowiek, który nazywał się Stiepan Markowicz Kariagin był jednym z nieszczęśników, przemierzających syberyjski ocean śniegu pod fałszywą banderą, gdyż z ich prawdziwym nazwiskiem powiązana jest okropna tajemnica, którą muszą ukryć, lub też nie chcą, żeby im o niej przypominać. To są tak zwani Zamaskowani.

Pod wpływem radości z prowadzonej głośno wymiany myśli, zapomniał o wszystkim wokół, aż nagle uprzytomnił sobie, że może odkryć jego tajemnicę. Wówczas uciekł przerażony.

Od tej chwili nieodparta chęć poznania kolei losów starego załadnęła mną coraz bardziej. Jednak dopiero gdy minęła zima, udało mi się na tyle zdobyć jego zaufanie, że uwierzył w szczerość mojej przyjaźni i wtedy opowiedział mi historię swojego życia.

3.

Stiepan Markowicz Kariagin – ze względu na jego rodzinę pozostał przy tym nazwisku – był synem poważanego i szlacheckiego urodzonego rosyjskiego generała brygady, którego car Mikołaj mianował gubernatorem bardzo odległej prowincji.

Z wielu dzieci pozostał mu tylko ten jedyny syn. Ból jego musiał być więc ogromny, kiedy któregoś dnia syn stanął przed nim i oznajmił, że chce pójść na uniwersytet.

– Co? – zachnął się stary ojciec. – Chcesz stać się gryziopiórkiem? Czy nie wiesz, że nie będzie to godne twojego urodzenia? Młody mężczyzna z takiego stanu powinien zacząć karierę w wojsku. Kto postępuje inaczej, daje zły przykład. Czy chcesz, żeby twoja rodzina przestała być chętnie widziana w sferach rządowych?

Młody mężczyzna pałał jednak nieprzezwycięzoną niechęcią do perspektywy kariery w wojsku. Ojcu nie pozostało nic innego, niż pozwolić mu wstąpić na uniwersytet. Aby jednak uniknąć gadaniny w rodzinie i wśród obcych równych im stanem, wysłał syna po naukę za granicę.

Po studiach na różnych uniwersytetach niemieckich, Stiepan Markowicz udał się do Paryża i Londynu, a wreszcie również do Szwajcarii, gdzie w tym czasie szukający edukacji Rosjanie wskutek postępu w duchowym rozwoju imperium carskiego cieszyli się wielkim poważaniem.

Przed młodym, dystyngowanym, wytwornym i doskonale wykształconym człowiekiem wszystkie najlepsze salony stały otworem. Na jednym z przyjęć poznał młodą dziewczynę o imieniu Johanna M., córkę szwajcarskiego proboszcza, którą tak przyciągały dowcipne konwersacje Stiepana, że niebawem żywo się nim zainteresowała. Jemu również spodobała się młoda i świeża dziewczyna i wkrótce się do siebie zbliżyli, aż nie było mowy o rozłące... Postanowił się z nią ożenić.

Zawiadomił ojca o swoim zamiarze. W odpowiedzi usłyszał, że rodzina uzna ten mariaż za hańbę i ucieknie się do wszelkich możliwych środków, żeby przeszkodzić ich związkowi.

Pozostał jednak przekonany, że upór ojca jest bezpodstawny. Jeszcze bardziej utwierdził on Stiepana Markowicza w jego postanowieniu. Wolał raczej zrezygnować z powrotu do rodzinnego domu i ojczyzny, niż opuścić ukochaną. Gdy okazało się, że intrygom nie ma końca, szybko zdecydował. Objął posadę nauczyciela i poślubił Johannę, spodziewając się, że ojciec z czasem pogodzi się z faktami dokonanymi.

Mylił się jednak. Generał odczytał postępowanie syna jako bezczelne kwestionowanie woli ojca. I poprzysiągł tej bezczelnej osobie zemstę za to, że podstępnie posługując się różnymi sztuczkami, zwodziła i na koniec ukradła mu syna. Nieprzejednana nienawiść wobec niewinnej kobiety całkowicie przemieniła gubernatora. Obnażył dzikość i surowość swojej prawdziwej natury. Z względnie łagodnego i wyrozumiałego człowieka zmienił się w porywczego, popędliwego złoźnika. Wiele razy Stiepan Markowicz otrzymywał listy z ojczyzny, w których życzliwi uprzedzali i ostrzegali, żeby – jeśli miłe mu jest życie własne i rodziny – nie wracał do Rosji. Również tam, gdzie się teraz znajduje, powinien uważać, ponieważ nienawiść jego ojca nie zna granic.

W tej palącej złej namiętności generał wpadł na pomysł wyjątkowo podły, żeby udawać pojednanie i tym sposobem urzeczywistnić zamiar zemsty. Nagle sprawiał wrażenie, że pogodził się z tym, czego nie może zmienić. Próbował pozornego pogodzenia się i kiedy zawiadomiono go, że został dziadkiem, napisał do syna uprzejmy list, załączając kilkaset rubli.

Stiepan Markowicz przyjął pismo tak, jakby to uczynił każdy zwyczajny syn, który nie chce we własnym ojcu widzieć podstępного barbarzyńcy. Wierzył bez zastrzeżeń w rzetelność przebaczenia. Z jego powodu wydawał się szczęśliwy. Zależało mu na pojednaniu i pogodzeniu się z ojcem. Przy tym jego sytuacja finansowa

także nie przedstawiała się najlepiej. Jako nauczyciel nie zarabiał wiele, a Johanna potrafiła równie źle gospodarować jak on sam.

Minęło kilka lat. Kontynuowano wymianę listów z ojcem. Nie były serdeczne, ale w miarę uprzejme i można było się spodziewać, że ojciec nareszcie pogodził się z tym, czego już zmienić się nie uda. Zresztą młode małżeństwo co roku miało okazję obwieszczać narodziny nowego wnuczka.

Pewnego dnia nadszedł list od generała, w którym zapytywał, czy syn nie zamierza wrócić do Rosji i nie ma ochoty przyjąć posiadłości państwowej, na dobry początek u własnego ojca. Przy posiadanych kontaktach z pewnością nie będzie musiał czekać długo na awans na wicegubernatora.

Perspektywa tak wspaniałej przyszłości wywarła na Johannę znaczne wrażenie. Sądziła, że za wszelką cenę należy przyjąć propozycję teścia, mimo licznych ostrzeżeń krewnych i przyjaciół, którzy znali Rosjan i tkwiącą w nich żądzę zemsty. Uważali, że doprowadzony do wściekłości generał zdolny jest do wszystkiego. Sam Stiepan Markowicz również nie bardzo ufał pokojowi czy rozejmowi, jaki między nimi nastąpił. Niejasne przeczucia mówiły mu, że z tego posunięcia nic dobrego nie wyniknie. Jednak Johanna od tego momentu nie dawała mu już spokoju i kiedy ojciec nalegał w listach, żeby się sprowadzili do kraju, syn zdecydował się zrezygnować z bezpiecznego domu w nowej ojczyźnie i powrócić do dawnej.

4.

Po długiej, a w ówczesnych warunkach uciążliwej podróży, dotarli do domu ojca, gdzie w pawilonie ogrodowym urządzono dla nich mieszkanie.

Generała nie było w domu. Przybyszów powiadomiono, że musiał wyjechać służbowo, by coś załatwić. Matka nie żyła już od kilku lat. Przyjezdni nie zastali więc nikogo oprócz służby i jednej głuchoniemej kuzynki.

Po jakimś czasie generał wrócił. Stiepan Markowicz chciał rzucić mu się na szyję, przytulić się do jego piersi, po długiej rozłące ucałować i prosić o przebaczenie. Został jednak odepchnięty. Gdy spojrzął w pobłyskujące groźnie oczy starego, słowa uwięzły mu w gardle. Zapytał tylko, czy może przynajmniej pokazać ojcu swoje dzieci. Wtedy generał wstał, zamierzył syna wściekłym spojrzeniem i bez jednego słowa opuścił pokój.

Po takim powitaniu nie należało się spodziewać niczego dobrego. Johanna starała się pocieszać małżonka i próbowała własną czułością i delikatnością wynagrodzić mu utraconą miłość ojca. Jednak jego opanowała głęboka melancholia. Przeczucie czegoś niesamowitego, co musi się wydarzyć, co czuł, że wisi w powietrzu, spędzało mu sen z powiek, pozbawiało odwagi i wszelkiej ochoty do dalszego działania. Johanna cierpiała zapewne dalece bardziej. Komu mogła zaufać i się wyzalić? Obca tutaj, nie знаła ani jednego rosyjskiego słowa. Wykorzystano to jako pretekst, by nie wprowadzać jej do towarzystwa. Ciężka, długa podróż z trójką dzieci w powozie bardzo ją wyczerpała. Posępny nastrój jej męża także wpłynął na jej samopoczucie, więc Johanna była cierpiąca.

Po pewnym czasie Stiepan Markowicz otrzymał nareszcie polecenie, żeby udał się do biura i zapoznał z przyszłymi obowiązkami. Sekretarz ojca zaprosił go na wieczorną herbatę, przy której mieli omówić szczegóły spraw zawodowych. Stiepan Markowicz próbował odmówić, pod pretekstem, że ze względu na chorobę żony nie składa jeszcze wizyt. Sekretarz nie przyjął jednak do wiadomości wymówki, skoro mowa miała być tylko o sprawach zawodowych. Stiepan Markowicz nie miał więc innego wyboru, jak zaproszenie przyjąć.

Pożegnał się z żoną i dziećmi, zapowiedział, że wróci późno i poszedł.

Z powrotem był dopiero około północy. W pawilonie ogrodowym świeciło się jeszcze światło, podobnie jak w pokoju generała.

Podochocony z powodu uprzejmego przyjęcia przez sekretarza,

niczego nie podejrzewając, pospieszył nie zdejmując płaszcza do pokoju żony. Tam było już ciemno... Zawołał... Nikt nie odpowiedział... Zaniepokoiło go to...

Poszedł po światło, które stało na stole w jego pokoju i chciał wracać, kiedy stojąc już w progu – wzdrygnął się.

Ktoś leżał na podłodze... Przeszło go straszliwe przeczucie. Poświecił sobie i ujrzał coś przerażającego: pośrodku pokoju, w olbrzymiej kałuży krwi leżała jego żona, obok jego troje dzieci... Cała czwórka dosłownie zaszlachtowana, z poderżniętymi gardłami... Trochę dalej widniał zakrwawiony nóż.

Za sprawą bólu i przerażenia całkiem bezmyślnie porwał nóż i pobiegł do ojca.

Blady jak trup, trzęsąc się, stał przed nim i wrzeszczał:

– Jesteś mordercą! Moja żona! Moje niewinne dzieci! Całe moje szczęście! To ty jesteś ich mordercą!

Generał, który oczekiwał jego pojawienia się, siedział spokojnie na krześle z wysokim oparciem. Nie poruszyło go to. Oczy jego pozostawały prawie przesłonięte przez opadające brwi. Połyskiwały spod nich tylko małe świecące punkciki, całkiem jak u hieny. Pozwolił mu się wykrzyczeć, a kiedy syn nie potrafił już z siebie wydobyć nawet jednego słowa, powiedział zimno.

– Nie potrzebujesz się wcale tak podniecać... Jesteś jeszcze młody. Już ja postaram się o to, żebyś miał inną żonę. Będiesz ją miał, pasującą do twojego stanu. A co się tyczy tych bękartów...

– Ojcze! – krzyknął nieszczęsny.

Cyniczne słowa generała odebrały mu resztę zdrowego rozsądku. Rzucił się na ojca z zakrwawionym nożem w ręku.

– Ogień! Pali się! – wołano na zewnątrz.

Rozglądał się wokół jak opętany. Pawilon z czterema martwymi ciałami stanął w płomieniach.

Dopiero teraz oprzytomniał.

U jego stóp leżało krwawiące ciało ojca, który charczał w ostatnich konwulsjach... Zabity przez niego...

5.

Wypadł stamtąd i zniknął w tłumie ludzi, usiłujących ugasić pożar. Wybiegł z miasta i dalej pędził przed siebie, coraz dalej. Całymi dniami błąkał się wokół bez jedzenia, aż całkiem opadł z sił i zemdłał.

Kiedy już doszedł do siebie, znajdował się w małej chatce pośrodku lasu. Znalazła go stara kobieta, kiedy szukała chrustu i przytaszczyła na swoim wózku do chaty. Gdy nieco wydobrzał, spytał, gdzie przebywa. Wypowiedziała nazwę regionu mocno oddalonego od jego rodzinnych stron. Nie był w stanie myśleć. Niewytłumaczalna siła pchała go ciągle dalej, przed siebie. Wiele miesięcy pozostawał posłuszny temu jednemu pędowi: ciągle dalej, naprzód.

Zachorował w końcu w Jekaterynburgu na Uralu. W swoim obłędzie aż tam dotarł. Wyglądał okropnie: obdarty, prawie zagłodzony, brudny, całkiem zaniedbany. Nikt by nie odgadł, że należy do wyższej klasy ludzi. Aresztowano go więc jako włóczęgę, podejrzewając, że uciekł z kopalni tylko po to, żeby jak wielu innych zostać skazany na powtórne zesłanie na Syberię. Proces ciągnął się w nieskończoność. W twierdzy, o której krążyły niesamowite opowieści, zachorował na tyfus i trafił do szpitala więziennego.

Zwyciężył i zwalczył chorobę. Gdy oprzytomniał, dowiedział się od strażnika, ku swojemu przerażeniu, że mającąc w gorączce, wygadywał tak niesamowite rzeczy, iż powiadomiono policję i wszczęto śledztwo.

Pomógł mu przypadek. Na sąsiednim oddziale zmarł na tyfus inny więzień, o nazwisku Stiepan Markowicz Kariagin, który za pospolite przestępstwo kryminalne został skazany na 12 lat robót w kopalni i właśnie tutaj w czasie transportu na Syberię zachorował.

Zdarzyło się to tuż przed Świętami Bożego Narodzenia. To okres, kiedy Rosjanie, współczujący doli ziomków, którzy znajdowali się w drodze na Syberię, hojnie obdarzali ich jałmużną.

W zamian za przyrzeczenie, iż otrzyma tę jałmużnę, strażnik obiecał, że go uratuje.

W ten sposób nieszczęśliwy uciekinier, którego jedynym życzeniem pozostawało, żeby przed hańbą ustrzec nazwisko rodziny, powędrował do łóżka zmarłego przestępcy, a kryminalistę położono do jego własnego.

Nazajutrz lekarz przy nazwisku domniemanego włóczęgi postawił w księdze chorych krzyżyk.

– Zmarł.

Przy nazwisku Stiepana Markowicza natomiast napisał:

– Wyzdrowiał. Może kontynuować drogę do kopalni i przez kilka dni jako rekonwalescent jechać na saniach.

Nieszczęśliwy człowiek następnym transportem dostał się na Syberię pod nazwiskiem pospolitego przestępcy Kariagina i po nie kończących się cierpieniach i wyrzeczeniach dotarł do kopalni soli.

Pozostał jednak bez sił. Często trzeba go było stawiać na nogi po pracy. Kiedy komendant był któregoś dnia w dobrym humorze, nadał mu urząd i mieszkanie w opisanej przeze mnie kopalni.

Zadanie jego od prawie dwudziestu lat polegało na przycumowaniu statków, przybyłych z ładunkiem wapna. Musiał też uważać, by nie zostały uszkodzone ani oderwane z cum przez dziko rwącą Angarę i porwane gdzieś daleko. Miał także pilnować, żeby źli ludzie nie plądrowali statków.

Jedyne pocieszenie dawały książki, kiedyś należące do politycznego zesłańca, doktora W. Doktor W. otrzymywał je krętymi drogami od przyjaciela, a zanim umarł w kopalni, przekazał je jak jedyny spadek uczonemu z jamy, z którym się również zaprzyjaźnił.

Gdy zostałem zwolniony z kopalni w Usoli i posłany na osiedlenie w Irkucku, stary jeszcze żył. Po kilku latach jednak od pewnego znajomego dowiedziałem się, że na jego miejscu przy cumowaniu statków pracuje jakiś garbaty więzień.

Oska

1.

Kiedy piękna i żądna władzy duńska księżniczka Dagmar, która przedtem była narzeczoną Mikołaja, gorąco kochanego następcy tronu, za obiekt westchnień obrała jego brata, Aleksandra Aleksandrowicza, późniejszego cara Aleksandra III i jako jego jaśnie małżonka została szczęśliwą matką księcia, obecnie nam panującego cara Mikołaja II – mogliśmy się i my, których za miłość okazaną własnej ojczyźnie zesłano do kopalń wschodniej Syberii, nieco ogrzać padającymi również na nas promieniami carskiego miłościwego słońca.

Ja, który od dwóch i pół roku pracowałem i spałem zakuty w łańcuchy, zostałem wraz z innymi towarzyszami niedoli ułaskawiony z tej okazji. Mogliśmy zamieszkać w wiosce Usola, leżącej niedaleko kopalń, pod warunkiem, że punktualnie i sumiennie będziemy wykonywali swoją pracę i każdego wtorku o określonej godzinie staniemy do apelu w mieszkaniu komendanta. Na placu kościelnym, naprzeciw prawosławnej świątyni, kupiłem sobie parcelę, na której wznosiła się mała chatka. Kuchnię zrobiłem z dawnego domku zimowego. W skład parceli wchodziło również rozległe podwórko, na którym znajdowały się najpotrzebniejsze zabudowania gospodarcze oraz ogród warzywny. Wszystko urządziłem zgodnie z moimi życiowymi potrzebami. Wkrótce zezwolono mi również na to, by moją pracę wykonywali inni, a ponieważ przyjaciele wspierali odpowiednimi sumami moje utrzymanie, mogłem oddać się bez reszty pracy naukowej i podjąć studia w dziedzinie sztuki. Wynająłem sobie starego Czuczę, który udawał, choć bardzo kiepsko, kucharza. W ciągu dnia pracowałem w domu, późne popołudnia wykorzystywałem na spacer i wycieczki. W ten sposób bardzo powoli dochodziłem do siebie po okresie ciężkiej pracy w kopalni.

Niedaleko kopalń soli mieściła się okryta złą sławą kolonia, nazywana Mołotowką. Składał się na nią zaledwie jeden szereg nędznych chat, ukrytych częściowo za nasypem, który służył także jako droga, prowadząca do lasu. Lasem tym dało się dotrzeć na Trakt Moskiewski, szeroką drogę dla wojska, która przebiegała przez całą Syberię i przed wybudowaniem kolei transsyberyjskiej pozostawała główną arterią. W Mołotowce gnieździła się najgorsza hołota, gotowa na każde zawołanie zniszczyć życie ludzkie za jedyne 10 kopiejek. Stanowiła postrach dla wszystkich nieco spokojniejszych i lepszych mieszkańców innych siół. Ciągłe morderstwa na tle rabunkowym i inne przestępstwa wszelkiego rodzaju zdawały się nie mieć końca. Co tydzień nowe transporty przestępców zapewniały ciągły napływ najgorszego elementu.

Na spacerzy najchętniej wybierałem się do lasu. Leżąc w cieniu drzew, na zielonej leśnej ziemi, mogłem puszczać wodze fantazji, rozmyślać lub cieszyć wzrok gorączkowym, żywym ruchem całych rojów owadów, które muszą w trakcie tak krótkiego lata zdziałać tak wiele. Aby dotrzeć do lasu, zwykle szedłem Traktem Moskiewskim, a wracałem drogą na nasypie mołotowskim, chociaż zdarzało się również odwrotnie.

Droga była niezwykle przyjemna, aczkolwiek zgodnie z tym, co uprzednio stwierdziłem, nie pozbawiona niebezpieczeństw.

Pewnego lipcowego wieczoru, kiedy z powodu gorąca – w ciągu dnia było 35 stopni ciepła – wyruszyłem w drogę powrotną nieco później niż zwykle zostałem zaskoczony w lesie przez straszną niepogodę. W krótkim czasie zrobiło się tak ciemno, że prawie nic nie było widać na wyciągnięcie ręki. Nawet kiedy zdołałem się wydostać z leśnych chaszczki i dotarłem do nasypu mołotowskiego, wciąż było tak ciemno, że drogi nie dało się zobaczyć. W dodatku padający ulewny deszcz tak rozmiękczył gliniastą ziemię, że bez przerwy ślizgałem się i aż po kostki zapadałem w breję. Dosłownie ześlizgiwałem się, a ponieważ na każdym kroku czyhało niebezpieczeństwo, bo mogłem spaść z nasypu, byłem z jednej

strony przemoczony do suchej nitki przez deszcz, ale też ze strachu mokry od potu. Ponadto droga zmęczyła mnie już solidnie. Wokół nie widać było choćby jednego promienia światła, nie słychać warkotu jadącego wozu ani nawet szczeknięcia psa.

Zupełnie jakby wszystko wymarło... Droga, która równie dobrze mogłaby prowadzić do piekła!

Nagle potknąłem się o coś miękkiego – to coś było jakby elastyczne.

Kiedy ponownie odzyskałem równowagę, zawróciłem bez namysłu, ponieważ zdziwiłem się, że mogłem w tym miejscu znaleźć jakikolwiek większy przedmiot: bo kamień to nie był z całą pewnością.

Szukałem, posługując się w ciemnościach nogami i kijem.

Nareszcie znalazłem. W brudzie leżało coś, co przypominało paczkę.

Skoro pomagając sobie kijem nie mogłem stwierdzić, co tam leży, ostrożnie pochyliłem się i zacząłem dotykać znaleziska ręką. Najpierw poczułem mokre łachmany.

W przerażeniu cofnąłem rękę. Dotknąłem czegoś ciepłego, lekiego i nawet żywego. Na pewno...

– Krew? Czy to krew? Może zamordowane dziecko?

Morderstwa były tu przecież na porządku dziennym.

Próbowałem osuszyć ręce i następnie zapalić zapałkę. Nareszcie. Udało się...

Rozpoznałem włosy. Pewnie zatem była to głowa. Znów macałem ręką znalezisko. Kiedy tylko dotknąłem miejsca, gdzie powinna być, jak przypuszczałem twarz, to coś wzdrygnęło się. Wydawało mi się, że usłyszałem ciche kwilenie. A więc jeszcze nie całkiem martwe okazało się moje znalezisko...

Nie zastanawiając się dłużej, zabrałem nieszczęsną istotę i na plecach taszczyłem do szpitala.

Do szpitala było daleko, a moje znalezisko ciężkie. Dochodziła już północ, kiedy tam dotarłem. Całkowicie wyczerpany,

zapytałem o dyżurnego lekarza. Podano mi nazwisko jednego ze współtowarzyszy niedoli, z którym kiedyś studiowałem. Był okazałym, wspaniałym młodym człowiekiem. Jako lekarz niezwykle pilny i zdolny, pozostawał szorstki w zachowaniu i cyniczny w słowach. Kazałem go zawołać.

– Z jakiego piekła szatani cię tu nasłali? – naskoczył na mnie, kiedy spojrzał na nocnego intruza, wyczerpanego, przemoczonego i ubrudzonego. – Chyba cię coś ugryzło? Mówię ci: ty ze swoimi bezsensownymi ideami i miłością do ludzi teraz masz! Z tą obrzydliwą świnią! Śmierdzi zgniłą kwaszoną kapustą. Są barbarzyńcami po ojcach i łotrami po matkach. No, dawaj, pokaż. Niech ci będzie! Muszę przecież kiedyś pójść spać. Miałem dzisiaj dwie ciężkie operacje, a na dodatek to nieszczęsne spotkanie!

Wszystko to wyrzucił z siebie trochę nieskładnie, jednym tchem. Skorzystałem z okazji, żeby trochę odpocząć i pozwoliłem mu się zżymać i wściekać. Znałem go przecież. Serce miał dobre. Potrafił oddać nawet ostatni kęs, jeśli uznał to za konieczne. Swego czasu przesiadywał w pokoju bez spodni, ponieważ to nieodzowne okrycie pożyczył jakiemuś biedakowi, który podobno miał kogoś w nich odwiedzić, ale potem przepadł razem z nimi.

Gdy już nareszcie się wykrzyczał, przedstawiłem swoją sprawę. Najpierw był nieco zdziwiony, że się pewnie pomylił, ale po chwili zaczął od początku.

– Oszalałeś? Biegać po okolicy w taką pogodę i znosić mi tutaj umarłaków. Naprawdę powinno się tobie nałożyć kaftan bezpieczeństwa...

Utyskując, zaczął jednocześnie rozwijać moje znalezisko. I kiedy ukazało się coś, co prawie nie przypominało istoty ludzkiej – pokryte brudem i pękniętymi wrzodami stopy, napuchnięta twarz – wówczas strażnicy, spluwając za siebie, uciekli w przerażeniu. Wszyscy obawiali się zarażenia. Mnie również zrobiło się dość dziwnie. Natomiast mój przyjaciel, porzuciwszy wszelkie karce nie, zabrał się do dokładnego badania.

Kiedy starannie umył ręce w karbolu, zamruczał:

– Zabierz sobie tę kupę brudu. Nie mogę mu już pomóc.

Próbowałem go namawiać. Wtedy jednak prawie wyszedł z siebie.

– Co? – wrzeszczał. – Czy sądzisz, że potrafię ożywiać umarłych? A nawet gdybym to umiał, nie zastanawiałbym się nad taką kupą gnoju. Do diabła! Chłop całkiem zwariował. Przytargać do mnie coś takiego!

Znaleziony, który okazał się trzynastoletnim lub najwyżej piętnastoletnim chłopcem w ostatnim stadium fizycznego wyczerpania, został jednak przyjęty do szpitala i otoczony najlepszą opieką, jakby był pacjentem, za którego wyzdrowienie obiecano zapłacić tysiące. Całymi nocami sam lekarz przysiadł przy jego łóżku. Wydawało się, że jego ambicja skupiła się na tym, żeby uratować chłopca, który w tak przedziwny sposób został znaleziony. Ilekroć jednak przychodziłem, żeby zapytać o zdrowie podopiecznego, zawsze słyszałem odpowiedź:

– Zabierz go stąd! I tak musi umrzeć!

2.

Jednak wbrew wszelkim oczekiwaniom, chłopiec nie umarł. Po trzech miesiącach – w tym czasie zaczęła się już zima – całkiem zdrowy, został wypisany ze szpitala.

Co miałem z nim teraz począć?

Ojca chłopiec w ogóle nie znał. Wiadomo, że był koniokrądem. Pochodził zapewne z południowych guberni, gdzie kradzieże koni były na porządku dziennym. Ze strachu przed chłopami, małżonka dobrowolnie zgodziła się towarzyszyć w drodze na Syberię mężowi, skazanemu na roboty w kopalni. W czasie długiego transportu urodził się chłopiec. Ojciec zachorował w kopalni i zmarł. Matka – latawica poszła z innym i przepadła, zostawiając dwuletniego chłopca pod opieką mieszkańców Mołotkowki.

Nieszczęsną istotę pędzono z jednej chaty do drugiej. Nikt nie chciał się nim zająć. Kiedy podrósł, zaczął żebrać i jakoś przeżył. Potem mołotkowcy brali go do pasania świń lub gęsi i dawali w zamian odrobinę strawy. Włóczył się tak, aż skończył trzynaście lat. Nikt się nim nie zajmował. Dlatego też pozostał opóźniony w rozwoju fizycznym, chudy i podupadał na zdrowiu. Jak bezdomny pies szukał odrobiny pożywienia, a kiedy zapadł na ospę, wyrzucono go na ulicę.

Niczego więcej, pomimo starań, nie udało się o jego przeszłości dowiedzieć.

Co mogłem zrobić? W końcu sam musiałem go do siebie przyjąć – przynajmniej do czasu, aż całkiem wyzdrowieje.

Mój służący – stary Czukcza – był przerażony nowym mieszkańcem naszego domu.

– Taki podrzutek, twarz całkiem powykrzywiana, nieforemny nos i jeszcze te wyleniałe brwi!

Nie, z takim przez diabła naznaczonym i przez złe duchy dla hańby stworzonym dzieckiem, on nie może zostać pod jednym dachem.

Prawda, że Oska – tak nazywali go mołotkowcy – był bardzo brzydki. Tak brzydki, że sam traciłem dobry nastrój, kiedy musiałem na niego patrzeć. Mimo to jednak zatrzymałem go, dałem siennik i koc. Wskazałem mu miejsce na piecu w pokoju, którego sam nie używałem i zleciłem staremu, który jednak był dobrodusznym człowiekiem, żeby się nim jak najlepiej opiekował. Chłopakowi natomiast zakazałem pokazywania się w mojej obecności i więcej się nim nie interesowałem.

Potrafił się tak roztropnie dostosować do warunków, że ani go nie widziałem, ani nie słyszałem. Kiedy daremnie próbowałem się dowiedzieć więcej o jego przeszłości, zaprzestałem dalszych prób i prawie zapomniałem, że istnieje. Dopiero latem wpadł mi ponownie w oko.

W ogródku posadziłem mnóstwo różnorodnych kwiatów, które przyjaciele przysłali mi z mojej nieszczęsnej ojczyzny. Miałem dużo pracy z ich podlewaniem i wrywaniem chwastów, ponieważ przy takim żarze z nieba i bardzo krótkich nocach, ziemia szybko zmieniała się w popiół. Dziennie potrzebowałem od 12 do 20 wiader wody, żeby je wszystkie podlać. Wodę musiałem przynosić ze studni. Wstawałem między 3 a 4 rano i zaczynałem tę pracę, gdy inni jeszcze spali.

Ogromnie się zdziwiłem, gdy pewnego ranka ujrzałem cały ogród świeżo podlany, a wszystkie chwasty wyrwane. Początkowo nie potrafiłem sobie wytłumaczyć, kto mi pomaga. Innym razem, gdy wstałem jeszcze wcześniej niż zwykle, dostrzegłem, że na werandzie mojego domu pojawił się okazały chłopak, który przemykał jak cień. We wschodniej Syberii noce o tej porze roku są krótkie, nawet przez całą dobę jest jasno. Chłopak przemykał jak cień. Skąpo ubrany, biegł z wiadrami do studni, wyciągał je bezgłośnie pełne wody i z dużą zręcznością wykonywał swoją, a właściwie moją pracę.

Chociaż był teraz mocno wyrośnięty, poznałem jednak, że to Oska, uratowany przeze mnie chłopiec, który w ciszy i bez żadnych żądań został moim pomocnikiem. Byłem tak mile zaskoczony, że od tej chwili postanowiłem więcej się nim zajmować.

Zaraz po śniadaniu, zanim przyszły moje modele, bo miałem malować, zasiadłem przy biurku tak, żebym mógł zobaczyć jego twarz w pełnym świetle i zawołałem go. Kiedy tylko usłyszał swoje imię, jednym susem znalazł się przy mnie. W pierwszej chwili zaskoczenie odebrało mi mowę. W nowych warunkach życia chłopiec rozwinął się w sposób zadziwiający. Wyrósł bardzo. Bliźny nieco zarosły, nawet nos przybrał normalne kształty. Dopiero teraz zwracały uwagę jego piękne, czarne oczy, które patrzyły na mnie tak szczerze i otwarcie, a przy tym dość energicznie, że nie mogłem się nasycić odkrytą w ten sposób nowością.

– Oska – powiedziałem wreszcie. – Z pewnością chciałbyś zostać porządnym i dobrym człowiekiem. Nie będziesz jednak mógł tego osiągnąć, jeśli niczego się nie nauczysz!

Milczeliśmy, nie odrywając od siebie wzroku. Aby szybko rozstrzygnąć sprawę, dodałem:

– Czy chcesz się nauczyć pisać i czytać oraz tego wszystkiego, co się w życiu przydaje?

Oczy jego odpowiedziały, zanim zdążył otworzyć usta.

– Dobrze – rozstrzygnąłem. – Możesz teraz odejść.

Jeszcze tego samego dnia kupiłem wszystko, co potrzebne, a nazajutrz już siedzieliśmy razem i zaczęliśmy naukę. Oska robił postępy w takim tempie, że zupełnie serio musiałem się zastanawiać, co ma z tego chłopca wyrosnąć, gdyż tu na katordze razem ze mną nie miał najmniejszych szans.

3.

Czuję się zmuszony do opowiedzenia zdarzenia, które miało miejsce wiele lat przedtem i zaważyło na przyszłości Oski.

Minął chyba rok od czasu, kiedy wraz ze znanymi i anonimowymi przestępcami politycznymi i kryminalnymi przybyłem do kopalni w Usoli. Życie tam, jeszcze w starych koszarach, przerobionych na więzienie, okazało się najbardziej beznadziejne, jakie można sobie wyobrazić. Dzień i noc pozostawaliśmy zakuci w łańcuchy, w których trzeba było chodzić, pracować i spać. Mimo, że koszary przeznaczono tylko dla 150 do 200 osób, mieściliśmy się tam w 400 i więcej. Na podłodze pomiędzy pryczami żyły krocie pasożytów, które wypijały krew niezliczonych pokoleń umęczonych i śpiących tu zesłańców, karmiąc potomstwo. Powietrze sprawiało wrażenie zadżumionego. Cieszyliśmy się za każdym razem, kiedy otwierano wrota i o czwartej rano Czerkies Hassan budził nas do ciężkiej roboty i mogliśmy nareszcie wyjść na świeże powietrze.

Do takiego życia nas zmuszano. Prześladowano nas i poniżano, ponieważ kochaliśmy sprawiedliwość i naszą ojczyznę! Stąd nic dziwnego, że nasze zamięłowanie do rozmów towarzyskich zostało zredukowane do zera i byliśmy szczęśliwi, kiedy nie musieliśmy się do nikogo słowem odzywać, a nawet patrzeć na siebie nawzajem. W tej drugiej niechęci odzwierciedlała się nasza nędba i niedola, która się przez to jeszcze zwielokrotniała. Nasze chore dusze, okaleczone serca, nie wyrażały nic innego ponad ból, który był ponad nami, naszą istotą. Sprawialiśmy sobie nieskończone męczarnie, ilekroć spojrzeliśmy na siebie lub tylko słyszeliśmy nawzajem nasze głosy.

Na zjedzenie obiadu oraz przejście z miejsca pracy i z powrotem mieliśmy dwie godziny. W tym czasie załatwiano wszelkie niepojętym sposobem prowadzone interesy. Była to również jedyna okazja, żeby trochę odpocząć. Potem już komendant zastawał nas wszystkich razem w koszarach.

Jednak kiedyś, gdy właśnie mieliśmy wyruszyć po przerwie obiadowej, przyszedł do nas sierżant i nakazał zbiórkę na placu przed koszarami. Tak brzmiał rozkaz komendanta.

Przy akompaniamencie brzęku naszych łańcuchów przeszliśmy na plac i tam się ustawiliśmy. Wkrótce dostrzegliśmy komendanta, nadjeżdżającego kabrioletem. Był z nim jeszcze jeden mężczyzna. Przy budynku wartowni wysiedli, zbliżyli się do nas na odległość około 50–70 kroków, przystanęli, surowo zmierzili nas wzrokiem i wymienili między sobą uwagi. Staliśmy wyprostowani w szeregach i oczekiwaliśmy wydarzeń, które miały nastąpić. Zapewne niczego dobrego te przygotowania nie wróżyły.

Należy w tym miejscu nadmienić, że wielu politycznych zesłańców z surowymi wyrokami, natrafiało w drodze na Syberię na dobrowolnych męczenników, którzy skazani na łagodniejszej kary zsyłki, przejmowali ciężkie wyroki na siebie, aby innym pod ochroną własnego nazwiska umożliwić powrót do kraju, aby w ojczyźnie mogli znowu działać politycznie. Poprzez cały system

szpicli i denuncjatorów rząd starał się oczywiście wykrywać takie oszustwa. Jeżeli władze natrafiły na ślad takiego patrioty, który aby służyć ojczyźnie przejmował karę ciężkiej pracy w kopalni od kogoś, kto politycznie był bardziej wartościowy, to wówczas – jeśli nie było jeszcze całkowitej pewności co do procederu – podejrzany był konfrontowany z denuncjatorem. Jeśli człowiek ten został rozpoznany, musiał wystąpić z szeregu, potem zaś następowało natychmiastowe wykonanie wyroku przez powieszenie lub nałożenie innej surowej kary.

Można sobie wyobrazić, jak się wszyscy czuliśmy. Ci, którzy byli winni, drżeli, że wybiła ich ostatnia godzina. A kto był niewinny, dręczyła go myśl, że straci na zawsze drogiego przyjaciela i towarzysza niedoli.

Mijały kolejne minuty tego przykrego dla nas wszystkich przeżycia.

Nagle znikły wątpliwości, że obcy zwrócił uwagę komendanta na miejsce, w którym stałem właśnie ja. Zamienili jeszcze kilka słów, a później komendant kazał reszcie wrócić do zajęć. Natomiast ja musiałem zostać.

Po chwili dwóch żołnierzy wzięło mnie między siebie, podczas gdy moi współtowarzysze ze łzami w oczach, zegnali mnie słowami i gestami. Przy wtórze brzęku łańcuchów powoli oddalali się coraz bardziej.

Wkrótce na placu wokół mnie zrobiło się cicho i spokojnie. Również komendant odjechał razem z gościem.

W końcu pojawił się starszy szeregowy z dwoma Kozakami, uzbrojonymi w obnażone bagnety i knut. Poprowadzono mnie przez wioskę Usola do Angary. Zupełnie nie miałem pojęcia, co się ze mną stanie. Zaprowadzono mnie do przedsionka, a potem do dużego pokoju domu komendanta.

Po kilku minutach wyszedł komendant wraz z obcym, którego poznaliśmy na wyspie solnej, uważanym przez nas za denuncjatora. Zasiedli przy stole. Zaś ja w towarzystwie Kozaków zostałem

przywołany bliżej. Usłyszałem coś, co z początku wydało mi się marzeniem sennym.

– Zostanie pan odprowadzony do domu księżnej Trubeckiej – oznajmił komendant, ostro mierząc mnie podobnymi do igieł oczami. – Znajdzie pan tam córkę tego oto pana i na początek będzie pan trzy razy w tygodniu, popołudniami uczył ją wszystkiego, co należy do programu edukacji. Tak polecił jego ekscelencja, generalny gubernator Syberii Wschodniej.

Zwrócił się do Kozaków, którym rozkazał mnie odprowadzić. W przedpokoju natrafiliśmy na starszego szeregowca, który nas eskortował, idąc parę metrów przed nami. W takim pochodzie wędrowaliśmy przez całą wieś i rynek, ku zdziwieniu mieszkańców, którzy na dźwięk brzęczących łańcuchów spieszyli do okien. W końcu dotarliśmy do domu księżnej Trubeckiej, którą dziwne zrządzenie losu przygnało na Syberię, gdzie teraz prowadziła coś w rodzaju szkoły dla dziewcząt.

Zaprowadzono nas niezwłocznie do pokoju gościnnego. Kozacy stanęli po obu stronach otwartych drzwi, a starszy szeregowy poszedł swoją drogą, nie wypowiedziawszy nawet jednego słowa.

Nerwy moje za sprawą tej historii, bardziej pasującej do baśni z tysiąca i jednej nocy, pozostawały napięte do ostatecznych granic. Nawet nie miałem czasu się rozejrzeć, nim do pokoju weszła starsza, korpulentna dama, ubrana na czarno. Za rękę przyprowadziła dziewczynkę, mniej więcej czternastoletnią lub piętnastoletnią. Przedstawiła siebie, potem dziewczynkę, z uprzejmym uśmiechem wypowiedziała parę grzecznościowych uwag, na które starałem się, jak umiałem, równie elegancko odpowiedzieć. Następnie zaprosiła mnie, żebym wypił z nimi herbatę. Dopiero pod wieczór odtransportowano mnie do koszar, ku niemożliwej do opisanego radości i wielkiemu zaskoczeniu kolegów. Przez całą noc śniłem jak dziecko, które na Gwiazdkę zostało zaskoczone najwspanialszymi i niespodziewanymi prezentami, aż do chwili, kiedy ochrypli głos Hassana okrzykiem „panowie do roboty!” oraz

nagle szarpnięcie zakutych w łańcuchy nóg, oznajmiły mi koniec cudownych marzeń sennych. Po południu zostałem nauczycielem słodkiej, nieśmiałej dziewczynki, której ojciec, jak wszyscy Sybiryacy, żywił spore poważanie dla politycznych zesłańców i załatwił u władz zezwolenie, by wybrać spośród nich nauczyciela dla córki.

Mój czas pracy został podzielony. Przed obiadem harowałem w kopalni, a po obiedzie pracowałem jako nauczyciel, przy czym to drugie zajęcie zapewniało mi odpoczynek i nowe siły po pierwszym.

Ten piękny czas miał jednak swój koniec. Moja uczennica opuściła Usolę, a jej ojciec, niezwykle wpływowy kupiec i wyplukiwacz złota z Irkucka, odszukał mnie, by zaproponować zapłatę za lekcje dla córki. Oferta została oczywiście zdecydowanie odrzucona i udało mi się tego mądrego i światowego człowieka przekonać, że w tym wypadku to ja odniosłem większe korzyści. Jak najszczyrczej uścisnęliśmy sobie ręce i rozstaliśmy się jak przyjaciele, uzgadniając wcześniej, że bez zwłoki zwrócę się do niego, jeśli będę potrzebował pieniędzy albo protekcji w obojętnie jakiej sprawie.

4.

Przez wiele lat nie potrzebowałem odwoływać się do jego dobroci. Jednak teraz, kiedy przyszłość Oski stała się powodem moich strapień, przypomniałem sobie o kupcu. Napisałem do niego i odwrotną pocztą otrzymałem odpowiedź, abym przysłał chłopca do niego. Zamierzał na początek zatrudnić go w swoich browarach. Jeśli się sprawdzi, z pewnością będzie mu się u niego dobrze wiodło.

Oska płakał, kiedy mu oznajmiłem, że musi mnie opuścić. Mnie samemu nie było łatwo się z nim rozstać, ponieważ polubiłem go jak najszczyrczej. Nic jednak nie dało się zmienić. Próbowałem obudzić do życia drzemiący w nim zaczyn dobrego człowieka. Więcej nie mogłem zrobić. Przyszłość musiał spróbować ułożyć sobie sam.

Po mniej więcej roku kupiec napisał do mnie, że jest zadowolony z Oski, który w jednym z jego zakładów otrzymał dobrą posadę. To była ostatnia wiadomość o nim. Zabroniłem mu pisać do mnie, ponieważ nie chciałem, żeby w jakikolwiek sposób czuł się zmuszony do okazania wdzięczności.

5.

Mijały lata. Ogłoszono amnestię. Nie zapomniano również o nas, polskich rewolucjonistach. Zwolniono nas z kopalń i osiedlono we wschodniej Syberii. Z początku dostałem się do wioski Ajok, pracowałem to tu, to tam, nigdzie jednak nie zagrzałem miejsca na dłużej, ponieważ administracja centralna w Petersburgu, a zwłaszcza okryty złą sławą, Wydział IV Kancelarii Carskiej miał nas ciągle na oko i starał się ograniczyć do minimum nasz wpływ na miejscową ludność. Wreszcie zostałem wysłany do Irkucka, żebym objął tam posadę urzędnika. Smutne wspomnienia z Usoli coraz bardziej pokrywała mgła zapomnienia. Pojawiały się nowe zainteresowania i nadzieje, których życie nie skąpi.

Pewnego razu dostałem odpowiedzialne zadanie przeprowadzenia inspekcji na Trakcie Moskiewskim, tak daleko, jak sięga nasza gubernia. Zalecono mi wprowadzić nieco ładu i porządku do stacyjek pocztowych, które się przy nim mieściły. Wszystko dlatego, że Wielki Książę Aleksander Aleksandrowicz, brat cara, miał niebawem przejechać tym traktem, a ponieważ u jego boku miał podróżować także minister komunikacji – łatwo sobie wyobrazić, jak mocno tej nieuporządkowanej, pozostającej w wielkim nieładzie administracji na Syberii, zależało na tym, żeby Jaśnie Miłościwemu Panu pokazać swój teren w jak najlepszym świetle. Kiedy jednak dotarłem do wsi Czeremszowo, zastała mnie w niej wiadomość, że Wielki Książę zmienił trasę i zamierza skręcić do Korei i Chin. Skoro jednak nic pewnego jeszcze nie wiadomo, mam w tej wsi pozostać i czekać na dalsze polecenia. Zdecydowałem się ten czas poświęcić na sprawiające mi przyjemność

studiowanie etnografii. Kiedy spotkałem zaprzyjaźnionego dyrektora pobliskiej fabryki, bez ociągania przyjąłem jego propozycję, bym mu towarzyszył do jednego z jego zakładów daleko w lesie, niedaleko wsi Buriatów, należącej do innego mojego przyjaciela, wypłukiwacza złota z Irkucka. Nie przejmowałem się, że przecież wcale nie mam urlopu.

Przeżyłem kilka spokojnych dni odpoczynku. Dyrektor, pochodzący z terenów Syberii Zachodniej, który studiował w Rosji, był wyśmienitym człowiekiem i żadnej okazji nie pominął, żeby uatrakcyjnić mi pobyt i żebym się czegoś przy tym nauczył.

6.

Na krótko przed dniem, kiedy to zamierzałem ruszyć w powrotną drogę, dowiedziałem się, że z okazji karnawału w domu jednego z niższych urzędników odbędzie się przyjęcie z tańcami. Nie zamierzałem traci okazji, aby przyjrzeć się tym ludziom z bliiska podczas zabawy i zdecydowałem się pójść.

Dyrektor odradzał mi usilnie i stanowczo odmówił towarzyszenia mi. Przełożony powinien się trzymać od tego z daleka. Nawet jeśli na uroczystości pójdą niżsi urzędnicy i lepsi pracownicy okoliczni, to nigdy nie wiadomo, czy nie ma wśród nich złych elementów.

– Nie wyobraża pan sobie, ile musimy wycierpieć ze strony tej hołoty. Przy braku siły roboczej i otaczającym nas zewsząd lesie cieszymy się jednak, jeśli człowiek przygnany tu przez głód i zimno najmie się do pracy. Przyjmuje się go, choć z góry wiadomo, że to pewnie uciekinier z kopalni i pewnego dnia, z nadejściem lata, po prostu się oddali.

– Jaki interes mogą mieć ci ludzie, żeby się mnie czepiać? – oponowałem.

– Wystarczy, że mieszka pan u mnie – objaśnił. – Za każdym razem, gdy przybywa tu obcy, uważają go za szpiega dyrektora fabryki. Jeśli tym łotrom wyda się pan podejrzany, zwabią pana

w jakąś zasadzkę pod byle pozorem, zabiją i ukryją w śniegu. Pies z kulawą nogą się tym nie zainteresuje. Niedawno pewien urzędnik z kontroli, który zbyt uważnie patrzył miejscowym na ręce, zaginął w ten sposób. Latem na polach znajdziemy pewnie jego szkielet.

Nie przejąłem się ostrzeżeniem i wieczorem umówionego dnia, około siódmej wyruszyłem w drogę.

Jednak kiedy w ciemności szedłem wśród wysokich ścian śniegu, między którymi przekopana była wąska dróżka, zrobiło mi się trochę dziwnie na duszy.

Ani śladu gwiazd, księżycy czy choćby jednej jasnej smugi na horyzoncie. Niebo zawisło nad ziemią jak ciemny blaszany dach.

Może to trochę nieprzemyślana wyprawa? Udać się samemu do obcych, nieobliczalnych w swoich czynach ludzi? Coś w tym złego musi być, skoro tak nieustraszony człowiek jak dyrektor nie dał się namówić.

Na szczęście szybko zobaczyłem przed sobą nowy dom. We wszystkich czterech frontowych oknach, skierowanych w moją stronę, paliło się światło. Już z dworu dało się słyszeć panującą w środku wesołość. Wszedłem.

Tańczono, śpiewano i skakano w takt muzyki kilku bałałajek. Z powodu gęstego dymu palonego tytoniu i słabego oświetlenia, jakie dawały świece lojowe, z początku nic nie mogłem dostrzec.

Poszukałem sobie miejsca na ławie, ustawionej pod ścianą i zajmującej całą jej długość.

W izbie mrowiły się zuchwałe postacie w prawdziwych strojach chłopskich. Z okazji karnawału wszyscy się poprzebierali, a przygotowane maski były tak wiarygodne, że można było sądzić, że wszyscy są chłopami. Gadali, palili, pili herbatę i wódkę, rozstawioną wszędzie, w dużych ilościach na wszystkich stołach.

Obok mnie na ławie siedziało wiele kobiet i dziewczyn, również poprzebieranych za chłopki. Młodzi chłopcy, z zapalonymi fajkami w ustach, z futrzanymi czapkami na głowach, w suto marszczonych aksamitnych spodniach, wpuszczonych do niezgrabnych

butów z cholewami, i z jedną lub obiema połami sukmany, we-
tkniętymi za pas, podchodzili do wybranek, klaszcząc w dłonie.
Dziewczyny wstawały i wtedy pary ruszały w tan, posuwając się
a najdziwniejszych figurach po całym pokoju. Chłopcy klaska-
li przy tym, przytupywali ciężkimi butami do taktu, że aż okna
dźwięczały i wołali:

– Wesolo, wesolo!

Sień dzieliła dom na dwie części. Izba, w której tańczono,
była oddzielona od sąsiedniej ścianą, sięgającą zaledwie połowy
całej wysokości, znad której wielu gości przyglądało się tańczę-
cym. Było bardzo tłoczno. Drzwi do sieni stały otworem i bezu-
stannie tam i z powrotem przechodzili przez nie ludzie. Na ba-
łałajkach grano ciągle ten sam, monotony kawałek. Wszyscy
śpiewali razem tak długo, aż nie mogli wydobyć z siebie głosu.

Chociaż powietrze pozostawało przesycone zapachem bimbrowa
oraz dymem tytoniu i panował ogłuszający hałas, znakomicie czu-
łem się na swojej ławie. Nikt się szczególnie mną nie interesował,
więc bez przeszkód mogłem przyglądać się do woli oryginalnym
strojom i przebiegowi zabawy.

Tak minęło kilka godzin. Wciąż pojawiały się nowe twarze. Za-
miast herbaty pito teraz przeróżne likiery, które przyrządza się
tam z dzikich jagód i korzeni. Nastrój stawał się coraz weselszy,
wszyscy byli podochoceni. W końcu postanowiłem wyjść. Posła-
łem po gospodarza, żeby się pożegnać.

Ten jednak nie przychodził. Zauważyłem natomiast, że inni
zaczynają zwracać na mnie uwagę i gromadzą się po kilka osób.
Powoli ustawały tańce. Miejscowi przechadzali się po izbie ma-
łymi grupkami, a kiedy zbliżali się do mnie, zdawało się, że mnie
lustrują, nieznacznie mi się przyglądają. Nagle zostałem w izbie
sam. Drzwi zamknięte...

Wstałem, żeby wyrzucić, co się zdarzyło, zauważyłem jednak
za ścianką, dzielącą izbę na dwie, kilka twarzy, które mnie obser-
wowały, ale zniknęły zaraz, kiedy na nie spojrzałem.

Zaniepokoilo mnie to.

Od strony sieni wróciło do izby kilku młodych chłopaków w strojach chłopskich. Ociągając się, zrobili parę kroków w moją stronę, potem się odwrócili i ponownie zniknęli.

Nasłuchiwałem.

Za oddzielającą izbę ścianką miejscowi przechodzili na palcach i szeptali.

Teraz poczułem się naprawdę niepewnie. W głowie huczało mi z braku świeżego powietrza i od hałasu wiejskiej zabawy. Całkiem mimowolnie przypomniałem sobie rozmowę z dyrektorem.

– Łotry zwabiają pana pod byle pretekstem w zasadzkę, zabijają pana i pies z kulawą nogą nie będzie się tym interesował!

Wokół mnie ciągle jeszcze szeptano. Przez okna zaglądali z ciekawieni ludzie, którzy natychmiast znikali, jeśli tylko zobaczyli, że ich spostrzegłem. Wszystko stało się jasne: uważano mnie za szpiega właściciela czy kogoś w tym rodzaju. Całe towarzystwo było w zmowie. Znalazłem się w pułapce.

Minęło sporo czasu, ale w mojej sytuacji obłązonego nic się nie zmieniło. Szeptano, namawiano się, nagle gdzieś otworzyły się drzwi i zobaczyłem kilka tuzinów par oczu, które natychmiast znowu znikły. Nic więcej się nie zdarzyło.

Postanowiłem sobie, że nie ruszę się z miejsca. Świece łojoye były długie i wystarczyłyby do rana. Pomimo to znalazłem się w nieprzyjemnej sytuacji. Jak długo miałbym się tutaj bronić samemu, wobec przeważającej przewagi przeciwników? Na szczęście, z przekory i żeby pokazać dyrektorowi, że się nie boję, nie zabrałem nawet ze sobą rewolweru.

Znowu pięciu młodych chłopaków wkroczyło do izby. Przysunęli się tym razem dość blisko mnie, nic jednak nie powiedzieli i bez słowa odeszli. Zapewne mieli wszcząć ze mną kłótnię, a przy okazji mnie zabić. Postanowiłem sobie, że zachowam zimną krew i o ile to tylko możliwe, nie pozwolę się sprowokować.

Z mojego miejsca śledziłem każdy ruch i szmer.

Za ścianką działową gromadziło się teraz chyba coraz więcej ludzi. Zapewne nie mogli uzgodnić między sobą, w jaki sposób mają mnie zabić. Wyczułem to, słysząc bardzo ożywioną rozmowę, przy czym naraz mówiło po kilka osób. Ciągłe szeptały. Rozróżniałem również głosy kobiet...

W każdej chwili spodziewałem się napadu.

Nagle z głośnym trzaskiem otwarto drzwi do sieni...

Wzdragając się, spojrzałem w tamtą stronę. Nie dostrzegłem jednak nikogo. Tylko za ścianką działową słychać było coraz bardziej ożywiony ruch i zamieszanie. Zrozumiałem, że stamtąd planowano na mnie napaść, by zabić, a trupa postanowiono wynieść przez otwarte drzwi do sieni, potem zaś na dwór, pod śnieg.

Wtem powróciła z sieni piątka młodych, którzy byli tutaj już przedtem. Chłopy jak dęby! Wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczami, kroczyli w moim kierunku. Mniej więcej półtora metra przede mną przystanęli. Jeden z nich, silny jak tur, wysunął się naprzód i stanął krok przede mną. Pozostali postąpili za nim.

– Znam pana – powiedział zawadiacko, srogo na mnie patrząc.

Ręce trzymał za sobą – miał w nich z pewnością narzędzie zbrodni.

Siedziałem jak skamieniały i nie odpowiadałem.

– Znam pana – powtórzył. Głos jego zabrzmiał dziwnie, jakby był wzruszony. Zapewne miał zadać śmiertelny cios, ale teraz, kiedy stał ze mną oko w oko, nagle nie starczyło mu odwagi.

– Pan kłamie! – zawołałem.

– Nie! Ja nie kłamie. Znam pana. I pan również mnie zna! – Kłamstwo pana jest więc podwójne!

Pozostali młodzi ludzie otoczyli mnie półkolem, w odległości wyciągniętej ręki. Mogli mnie dosięgnąć z łatwością.

Drzwi stały otworem. Pewien byłem, że dostrzegę w nich masę ściśniętych głów. Nie odważyłem się jednak spojrzeć w tamtą stronę, ponieważ chciałem mieć na oku chłopaka, który powtarzał, że mnie zna. Jednak nie zaszczycił go już żadną odpowiedzią.

Nagle wymienił moje nazwisko.

Nie zaskoczyło mnie to tak bardzo, ponieważ wyobraziłem sobie, że zdążyło dotrzeć tutaj. W rozpaczliwej sytuacji rozdrażniło mnie to dodatkowo, aż wściekły odparowałem:

– Czy pan mnie zna, czy też nie, jest mi to zupełnie obojętne. Niech pan odjedzie i da mi spokój!

– Nie dam panu spokoju, panie! – zawołał szybko drżącym głosem. – I mówię, że pan zna mnie także... Oska... Jestem Oska! Ten, którego pan znalazł na mołotkowskim nasypie...

W jednej chwili zaniemówił. Popłynęły mu z oczu łzy, a słowa uwięzły w gardle.

Za jednym zamachem wszystko się gwałtownie zmieniło, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Obrazy z przeszłości, jak żywe stanęły mi przed oczami. Pomyślałem o nędznej, zmizerowanej istocie, którą przed laty zaniósłem do szpitala, a teraz nagle ten okazały młody człowiek stoi przede mną.

Jednak teraz pomimo złego oświecenia rozpoznałem go już bez wątpliwości. Prawie zasklepione blizny po ospie, mądre oczy – to naprawdę był Oska, mój dawny podopieczny, którego o mały włos uznałbym za własnego zabójcę.

Rozpoznał mnie dużo wcześniej i opowiedział ludziom historię swojego cudownego ocalenia. Przez dłuższy czas jednak nie zdobył się na odwagę, żeby mnie zagadnąć... Stąd nieśmiałe szepty i obserwowanie mnie ukradkiem, które pod wpływem ostrzeżeń dyrektora i panującej na zabawie atmosfery moja podenerwowana wyobraźnia kazała mi niesamowicie tłumaczyć.

Nazajutrz Oska odwiózł mnie do Czeremszewa swoimi własnymi końmi. Jako samodzielny przedsiębiorca żył i mieszkał w kraju Buriatów – i ze wszystkiego, czego się o nim i od niego dowiedziałem, wnioskowałem, że wyrósł z niego ten, kogo kiedyś usiłowałem w nim obudzić. „Był człowiekiem”.